Po konfiskacie nakład drugi.

Nr. 4. Kraków, Czwartek 24 Stycznia 1895. Rocznik IV.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Szewska L. 7, parter.

Wszelkie przesyłki adresować należy: Józef Kleinberger, ulica Szewska, L. 4.

Rękopisów nie zwraca się.

Listów niefrankowanych nie przyjmuje się.

NAPRZÓD

Numer pojedynczy 7 centów.

Do nabycia w Krakowie w Agencyi dzienników Plac Maryacki L. 2,— we Lwowie w Biurze dzienników L. Plohna, ulica Karola Ludwika, i A. Olszewskiego, ul. Kilińskiego L. 2.

Listy reklamacyjne nieopieczętowane, nie podlegają opłacie pocztowej.

Czasopismo polityczne i społeczne. — Organ partyi socyalno-demokratycznej.

Prenumerata wynosi: W miejscu: rocznie 3·—, półrocznie 1·50, kwartalnie —·75, miesięcznie —·25. W Austryi: rocznie 3·60, półrocznie 1·80, kwartalnie —·90, miesięcznie —·30. W Niemczech: rocznie 7 marek. We Francyi: rocznie 10 franków.

Wychodzi co tydzień w każdy czwartek.

Ogłoszenia (inseraty) przyjmuje Administracya za opłatą od miejsca wiersza drobnem pismem (petit) 10 ct. — **Nadesłane** po 25 ct. od wiersza. Należytość uprasza się naprzód nadesłać przekazem pocztowym pod adresem Administracyi czasopisma.

PRZEGLĄD.

Casimir-Perier wielkiego dziadka zdziercy i despoty, mały wnuk tchórzami podszyty, uciekł z placu boju przed socyalistami i zamiast siedmiu lat panował niecałe siedem miesięcy. Jedynym jego następcą na krześle prezydenta republiki francuskiej był Brisson radykał, a zwłaszcza — nie złodziej ani nie patron złodziei... Ale bojąca się o swoją skórę banda senatorów i oszustów politycznych wybrała znów bogate zero — ministra marynarki Feliksa Faure'a na prezydenta. Faure otrzymał 429 a Brisson tylko 360 głosów. Ponieważ Faure (bogaty handlarz) majątek swój zrobił w zamorskich koloniach, więc socyaliści głośno nazwali go „handlarzem murzynów“. Wogóle przy tym wyborze powtórzyło się to, co było jeszcze z nieboszczykiem Carnotem. Z pośród wszystkich kandydatów wybrała szlachta i burżuazya najgłupszego, od którego potem niczego się nie wymaga, jak tylko, żeby ładnie wyglądał i mówił takie mowy, w których by nie było żadnej treści. Taką lalkę sadza się na krześle prezydenta i prowadzi się dalej rzemiosło obdzierania ludu ze skóry. Nowy prezydent francuski jest też bardzo dobrze z tą sztuką obeznany, bo był za młodu garbarzem i ma dziś ogromny handel skór.

Socyaliści francuscy prowadzą mimo zmiany prezydenta dalej nieubłaganą walkę przeciw wyzyskiwaczom i jeżeli tak dalej pójdzie, to wkrótce większość narodu stanie za nimi.

Podła taktyka. Przed kilku dniami zamordował pospolity zbrodniarz w Medjolanie prokuratora Cellego. Pisma burżuazyjne zwietrzyły w tem natychmiast intrygę „anarchistów“ i wyzyskały tę pospolitą zbrodnię przeciw — socyalistom. — Za jednym zamachem dwie podłości! Najpierw morderca Cellego był zasądzany 14 (!) razy za pospolite przestępstwa i tak ostatnim razem siedział cztery lata za kradzież; razem zaś spędził w więzieniu lat ośmnaście. Prokurator zaś Celli nigdy w procesach politycznych nie występował, lecz miał do czynienia ze zwykłymi zbrodniarzami.

Wszystkie te fakty nic nie znaczą w oczach zapłaconych łgarzy, którzy mają wszystko przełgiwać na broń przeciw socyalistom.

Groźba rządu niemieckiego. Z powodu znanej awantury, jaką prezydent parlamentu urządził socyalistom, siedzącym spokojnie wtedy, gdy inni krzyczeli: „hoch!“ dla cesarza, toczą się teraz poufne narady nad tem, żeby powiększyć władzę prezydenta, żeby mógł posłów ukarać ostrzej. Otóż gazety rządowe piszą, że na wypadek gdyby parlament te środki policyjne odrzucił, żaden minister nie stanie przed posłami, lecz tylko komisarzy ministeryalnych będą posyłać do parlamentu. Groźba ta jest śmieszna; bo wiadomo że najważniejsze mowy ministeryalne piszą niżsi i zdolniejsi urzędnicy... Ministrowi niemieckiemu zaś w dzisiejszych czasach wystarczy jedna jedyna mądrość: pełzanie na brzuchu przed dworem cesarskim.

Posłowie zatem nie potrzebują się smucić, gdy nie ujrzą już oblicza panów ministrów.

Wiwaty ludności warszawskiej dla carskiego sługi jenerał-gubernatora Szuwałowa i to wiwaty wznoszone w przeddzień rocznicy powstania, powinnyby zastanowić wreszcie patryotów, dokąd prowadzi polityka stańczyków, liżących każdą rękę mogącą uderzyć.... lub coś dać. — Przed nowym carem rozpoczęli polscy panowie w Królestwie pełzać na brzuchu w zawody, sądząc, że zyskają łaskę monarszą tą psią cnotą.

Teraz jednaki „kurs“ mają panowie we wszystkich trzech zaborach Polski!

Niechaj się przygotują na to, że i lud polski, jednaki w trzech mocarstwach sztandar rozwinie, sztandar walki z wyzyskiwaczami i służalcami.

Ks. Badeni, wzorowy jezuita, nie śmiał ostatnich swoich wycieczek drukować w „Czasie“ bo nawet ślepy zrozumiałby, że rzekomy „chrześcijański“ socyalizm ks. Badeniego nie godzi się łatwo z polityką organu stańczyków, żyjących z niewoli ludu polskiego.

Poszedł więc do „Głosu narodu“, i tu umieścił swoje idyotyzmy, którymi nie mamy powodu się zajmować.

Chcemy tylko ukrócić manię wielkości, której „ojciec“ Badeni podpada, gdy sobie wyobraża, że dla niego, dla jego referatu, będziemy urządzali zgromadzenie ludowe. Księżyna zapomina, że ma do czynienia z organizacyą robotniczą, która urządza zgromadzenia wedle potrzeb ogółu robotników, a nie wedle zachcianek Jezuitów. Jeżeli nam trzeba będzie, to i o encyklice papieskiej mówić będziemy, a na zaproszenia afiszami, może przyjść nawet cały konwent jezuitów, a nie tylko ks. Badeni, przekręcający prawdę.

Poseł lwowski dr. Lewakowski składał w niedzielę sprawozdanie swym wyborcom, — a raczej członkom partyi socyalno-demokratycznej, bo wyborców przybyło bardzo mało. Z uznaniem podnosimy, że p. dr. Lewakowski zrozumiał znakomicie ważność powszechnego głosowania, bez którego bagno galicyjskie pozostanie bagnem, choćby się nie wiedzieć jak wysilano nad obłudnemi „reformami!“

Prasa konserwatywna i liberalna karmiona przy żłobach pańskich, pieni się z wściekłości, że Lewakowski dostał wotum zaufania, choć Koło polskie nazwał „Targowicą!“ Płazy żywione z gadzinowych funduszów, niechaj już przyzwyczają się raz do tej krytyki Koła, bo jak przyjdą do głosu socyaliści, to panowie z Koła usłyszą krytykę, na jaką się nie zdobędzie dr. Lewakowski!...

ZJAZD KOLEŻEŃSKI.

(Dokończenie).

Naraz ktoś krzyknął do Smołowskiego, który nie odstępując na krok Gwarycza, i teraz przy nim siedział:

— Adam! Tyś tu nie siedział.

— Jak to nie tu?...

— A nie, tylko w drugiej ławce, trzeci od brzegu.

— Ale skąd.

Począł się spierać, lecz przekonali go i zmusili, by usiadł na swem dawnem miejscu.

On jeden, poziewając skrycie, obcy temu wszystkiemu, co się tutaj działo, zajęty swemi myślami, nie sięgał pamięcią w lata młodości, które dlań były obojętne, które już spędzał przy bilardzie, po cukierniach i u kokotek, chowając pod palto książki na ulicy, gdy szedł do szkoły, stroniąc od kolegów, nadziewając rękawiczki i zapalając papierosa, aby nie zdradzić niczem gimnazyalisty.

Wtem weszli profesorzy, trzech tylko, bo reszta pracowała dziś po innych zakładach i miastach: dyrektor, niski, śniady, ogolony, skromny człeczyna, pełen naturalnej powagi i dobroci, tylko dwa razy bardziej łysy niż przed laty; nauczyciel matematyki i nauk przyrodniczych Łyżko, zaniedbany, zaplugawiony plamami z wódki i szynkownych zakąsek, zezowaty z bokobrodami pieczeniarz, czyhający na kubany, wyłudzający od uczniów książki, mapy, stare monety, co się da, i tylko licznej rodzinie i pewnemu krewnemu wśród władz przełożonych zawdzięczający, że go dawno nie spensyonowano; nakoniec malutki jak chłopczyk o małych, żywo biegających oczach i twarzy niezmiernie skorej do uśmiechu, profesor literatury Tylski, dobre z kościami chłopisko, wiecznie skarżący się na brak poszanowania u młodzieży która go szczerze lubiła i nie mogący sobie przebaczyć swego małego wzrostu, upokorzony nim wobec starszych uczniów, zawstydzony zwłaszcza teraz w obliczu tych zmężniałych, na podziw rozwiniętych drągali.

Byli uczniowie powstali wszyscy jak na komendę, a Pływalski, dziennikarz, zaimprowizował do nauczycieli przemowę, pełną jak wszelkie mowy przesadzonych frazesów, które mówiący uważa za szlachetną blagę, nakazaną przez grzeczność, a słuchający z skromną miną przyjmuje jako hołd należny.

Z tem wszystkiem słowa nie potrzebują koniecznie pochodzić z serca, aby wzruszały. Czuje się, co się chce czuć, ludzie zaś poddają się radzi uczuciom przyjemnym. Więc mimo niektórych dawnych niechęci, obie strony poczęły na siebie spoglądać z tą sympatyą, którą nakazywało samo zejście się i czekająca je wspólna zabawa. Wprawdzie nauczyciele mieli po uszy swych uczniów, jak każdy ma po uszy zawodu, który uprawia od lat wielu, a oni, uczniowie, ze swej strony z niezawodzących obserwacyj dzieciństwa wiedzieli, ile przedwczesnych rozczarowań zawdzięcza dziecko swym nauczycielom. Ale koniec końców to było dawno, jedno się zapomniało, drugiego nie było w stanie ocenić i dzisiaj nie miano do siebie żadnych uraz.

Wszczęła się chaotyczna gawęda, obustronne powitania i przypomnienia. Dyrektor podawał wszystkim uroczyście rękę. Łyżko skupił całą swą szczerość na bogatym Gwaryczu, a mały prof. Tylski padł prawie od razu w objęcia największego ze wszystkich, naczelnika stacyi Krówki Dutkiewicza i zasypywali się nawzajem grzecznościami, niezmiernie miłemi i pochlebnemi dla profesora, który wynosił wprawdzie zawsze w swych wykładach wielkość duszy, lecz żywił skryty kult dla wszelkiej potęgi cielesnej, mając jej tak niewiele.

Po półgodzinnej wesołej i gwarnej rozmowie, zżywszy się już z sobą cokolwiek, poczęto się żegnać i rozchodzić pośród przypomnień: „A pamiętajcie o czwartej być u fotografa! O piątej objad!!...“

Płatkowski, dobrawszy sobie małe gronko kolegów, w sekrecie przed resztą, a szczególniej przed żydami, których nienawidził, będąc z nimi w ciągłych interesach jako budowniczy, zaprosił dyrektora na śniadanko.

Śniadanie z dyrektorem było jego marzeniem od czasu zwołania zjazdu. Chciał sobie koniecznie pohulać za pan brat z tym człowiekiem, przed którym drżał niegdyś za czasów szkolnych jak przed wrogą, rządzącą jego losami potęgą. Chciał mu pokazać, jak się pięknie pokierował, na jakiego zucha wyszedł, chociaż tam w szkole przed laty nie okazywał do książek zbyt wielkiego popędu. Otoczył „kochanego pana dyrektora“ całem ciepłem, na jakie go tylko stać było. Sam mu przyprawił kawior, dobierał zakąski i trunki, wzruszał go swą serdecznością.

Naraz zjawili się w gabinecie żydzi, psując im humor samym widokiem swych poufale uśmiechniętych, pewnych siebie min. Ukazanie się błędnej maski Weissfelda, włóczącego się krok w krok zdala za kupką swych współwyznawców, położyło koniec zabawie. Dyrektor, zobaczywszy kretyna, który spoglądał swemi głupowatemi oczyma na stół tak łakomie, jak gdyby lada chwila miał zasiąść do wspólnej uczty — powstał, nagle przypomniawszy sobie pilny interes. Nikt nie miał odwagi oddalić byłego kolegi za pośrednictwem służby i wszyscy rozeszli się zirytowani.

W 32 rocznicę powstania polecamy „patryotom“ . . . . , . **skonfiskowano skonfiskowano** . jednę noc bohaterami.

Socyalizm na scenie.

I.

Potężny prąd społeczny, ogarniający obecnie wszystkie fazy życia nowoczesnego, nie mógł oczywiście ominąć jednej z najważniejszych jej dziedzin, jaką jest sztuka i literatura.

W rozprawce p. t. „Sztuka a socyalizm“ drukowanej w naszem piśmie przed rokiem,*) przedstawiliśmy w zarysie stan dzisiejszej sztuki, oraz zanik jej cech burżuazyjnych i silny rozwój nowych idei, których źródłem jest socyalizm, przyczem główną uwagę poświęciliśmy sztuce plastycznej t. j. malarstwu i rzeźbie.

Obecnie pragniemy zaznajomić czytelników z kilku zjawiskami w dziedzinie literatury dramatycznej, które silnie zainteresowały ogół inteligencyi, i które świadczą dobitnie, że i scena współczesna, pozostająca dotąd pod nieograniczonem władztwem kapitalistycznych przedsiębiorców, stosujących się zawsze do upodobań publiczności burżuazyjnej — zaczyna się z kolei poddawać potężnemu wpływowi idei socyalistycznej.

Zwrot ten tem jest ciekawszy i — powiedzmy wręcz — tem sympatyczniejsze znaleźć musi echo nawet w kołach najzupełniej od sfer życia potocznego odsuwających się estetyków i artystów — że dzieła nowego pokroju są czasem utworami pierwszorzędnej wartości literackiej.

Przed kilku tygodniami, jeden z największych teatrów niemieckich t. zw. „Teatr niemiecki“ („Deutsches Theater“) wystawił dramat Gehrarta Hauptmanna p. t. „Tkacze“. Dzieło to, osnute na tle walki proletaryatu z klasą panującą, przedstawianem było niezliczone razy na wolnej scenie ludowej pozostającej pod kierownictwem partyi socyalno-demokratycznej w Berlinie i znalazło najszersze uznanie między robotnikami niemieckimi, obecnie jednak uzyskawszy pozwolenie cenzury berlińskiej, po raz pierwszy ukazało się na scenie publicznej i zelektryzowało szerokie masy ludności berlińskiej także z pośród warstw mieszczańskich.

Dramat Hauptmanna wystawiony na scenie wielkiej teatru stołecznego podziałał silniej na masy niż wszystkie mowy i odezwy agitacyjne; ukazał bowiem oczom publiczności kawał prawdziwego, tętniącego życia warstwy robotniczej, bez żadnych kłamliwych osłonek i upiększeń i tem właśnie silniejsze wywarł na wszystkich wrażenie.

Ponieważ dużo jeszcze wody upłynie, zanim nasza cenzura policyjna stanie na stanowisku cenzury berlińskiej i pozwoli publiczności zaznajomić się z potężnym utworem Hauptmanna ze sceny**), nie od rzeczy będzie zapoznać czytelników naszego pisma z treścią znakomitego dramatu i tym sposobem pokazać im w jakiej formie idee nasze ukazują sia na scenach spółczesnych.

Dramat Hauptmanna powstał — jak sam autor wyznaje pod wpływem opowiadań jego ojca o niedoli tkaczy szląskich, w których szeregu walczyli i przodkowie poety, a których wspomnienie natchnęło go myślą napisania „Tkaczy“. W dramacie tym stworzył też Hauptmann wspaniały obraz historyczno-społecznego zatargu między kilkutysięczną masą roboczego ludu, a garstką wyzyskujących ją fabrykantów i przemysłowców.

Akcya dramatu odbywa się w zapadłej wioszczynie szląskiej, przenosząc się na przemiany to do wykwintych salonów mocarzy złota, to do nędznych lepianek wygłodniałej rzeszy. Poszczególne odsłony, połączone z sobą spólnością tła i idei, stanowią szereg obrazów scenicznych, z których każdy przedstawia z innej strony ten sam faktyczny stan rzeczy.

Akt pierwszy „Tkaczy“ rozgrywa się we wnętrzu zabudowania fabrycznego. Jestto wielka szara hala towarowa, w której odbierają i ważą przyniesioną tkaninę. Wzdłuż ścian stoją wysokie szafy, zapełnione towarem, przy nich ciągną się w wielkim szeregu ławy, na których tkacze składają swoje wyroby, występując kolejno przed pisarzem, oceniającym ich wartość i wagę. Dzień jest gorący, majowy. Zegar wskazuje dwunastą. Większość obecnych tkaczy przypomina podsądnych, stojących przed kratkami sądowymi i oczekujących z natężeniem i trwogą wyroku życia lub śmierci. Na twarzach wszystkich znać piętno ucisku i poniżenia, z którego wyczytać można chęć ukrycia się przed okiem patrzących; podobnie jak u ludzi wstydzących się, a zmuszonych żebrać i czujących ogólną, przeciwko sobie zwróconą pogardę i nienawiść.

Głęboka a ciągła zgryzota przemawia z lic tych istot skarlałych, o piersiach zapadłych, kaszlących; nędza maluje się na ich twarzach wybladłych z sino podkrążonemi oczyma i na postaciach całych, skrzywionych od ciągłego siedzenia nad kołowrotkiem. U kobiet znużenie, wycieńczenie i boleść zatarły wszelki wyraz indywidualny; mężczyźni starają się gwałtem zachować opłakane resztki powagi i strzępki pozorów. Dziewczęta o woskowej cerze, delikatnej kibici i wielkich wyłupiastych oczach, odznaczają się bladym odcieniem dziewiczego wdzięku. Podczas odbioru tkanin i wypłaty rozgrywają się wzruszające sceny między umierającymi z głodu tkaczami, a spanoszonymi służalcami fabrykanta. Gdy wreszcie jeden z chłopców z wycieńczenia i głodu pada zemdlony, zjawia się — niby duch opiekuńczy — farbykant Dreissiger i w długiej tyradzie, jakby żywcem wyjętej z rozprawy jakiegoś burżuazyjnego moralisty, karci „niesumiennych rodziców, wysyłających wątłe dzieci z ciężkim pakunkiem w dwumilową drogę“.

— „To doprawdy nie do uwierzenia — woła z świętem oburzeniem fabrykant. — Doprowadzicie chyba do tego, że zakażę dzieciom wstępu do fabryki. Przestrzegam stanowczo wszystkich, aby mi się nic podobnego nie przytrafiło na przyszłosć! Na kogóż bowiem w końcu spada odpowiedzialność, jeżeli nie na biednego fabrykanta? Wszak on musi być zawsze przyczyną wszystkiego złego. Niechby, broń Boże, taki malec po drodze gdzie ugrzązł w śniegu zimą lub zamarzł — niewątpliwie znalazłby się zaraz jakiś pismak, któryby w ciągu dwu dni zaalarmował wszystkie gazety świata. Czyżby oskarżał ojca lub rodziców chłopca? — broń Boże! od czegóż fabrykant, ten kozioł ofiarny wszelkich oszczerstw i potwarzy! Robotnika każdy popieści, pocieszy; fabrykanta obrzucą obelgami, nie szczędząc oskarżeń, że to człek bez serca, głaz zimny, niebezpieczne indywiduum, którego lada psiak dziennikarski może ugryźć w łydkę! Sam żyje po królewsku z krwi i potu robotników swoich których zagładza. O zmartwieniach, troskach i nocach bezsennych, które fabrykant spędza, licząc się z ryzykiem, a o których robotnik pojęcia mieć nie może — ani słowa!“

Obłudne i zużyte frazesy powyższe nie trafiają oczywiście do niczyjego przekonania, a wywołane śmiałem odezwaniem się jednego z obecnych tkaczy, Bekera, nie uspakajają wcale budzącego się wśród nędzarzy niezadowolenia. Zarzewie buntu, tlące słabą iskierką wśród robotniczej rzeszy, zdradza się w nieśmiałych, ukrytych spojrzeniach i westchnieniach, któremi niewolnicy wyzysku odpowiadają na zadawane im policzki. *I. Sue.*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) Rozprawka ta ukazała się teraz w osobnej odbitce nakładem księgarni L. Zwolińskiego i Sp. w Krakowie.

**) Wedle doniesień pism wiedeńskich, ma jeden z teatrów tamtejszych niebawem wystawić „Tkaczy“. Kiedyż doczekamy się tego w naszym teatrze?

Policya krakowska.

I.

Do redakcyi pisma naszego zgłosił się dn. 21 stycznia p. Jan Czaja i zeznał co następuje:

Protokół z dnia 21 stycznia 1895 spisany w redakcyi „Naprzodu“ w sprawie koncypisty policyjnego p. dra Zygmunta Sorga.

„Potrzebując pieniędzy zwróciłem się do faktorów, a ci mnie zaprowadzili do Dra

---

Tylko jeden z żydów sarknął:

— Tego Weissfelda powinniby już dawno zamknąć.

Naturalnie, że powinien siedzieć pod kluczem natarczywy obdartus, kompromitujący swą poufałością porządnych ludzi.

Włóczył się za nimi brudny obszarpany, jak gdyby chciał im dokuczyć, dzień cały. Gdziekolwiek się obrócili, zjawiał się jak cień i z spokojnym uporem idyoty nastawiał po raz dziesiąty zapałki, które kupowali raz po raz, aby się od niego uwolnić bodaj na chwilę, tak że niektórzy mieli już wszystkie kieszenie zapełnione paczkami. W końcu wziął się któryś na sposób i wyprawił go z towarem na jakąś odległą ulicę. Lecz fortel się nie udał. Zostawiony na środku bruku stał przez chwilę, patrząc za nimi jak pies, którego pan odgania do domu. Lecz kiedy mieli zniknąć na skręcie, puścił się w pogoń za nimi, jak gdyby czuł, węszył ochłapy, które dostawać mu się będą, jak długo będzie tym gromadnie spacerującym ludziom po piętach deptał.

Nakoniec po odwiedzeniu fotografa, gdzie grono uczestników zjazdu wraz z profesorami uwieczniło swe fizyonomie, swoje dewizki, pierścienie i okazałe garnitury, stoczywszy walkę z żydami, upierającymi się koniecznie, aby i swe żony uwiecznić, zebrano się w osobnej salce hotelu „pod liliami“ na wspólny objad.

Fatum prześladowało Glückskinda. Stanąwszy przed aparatem tak nieszczęśliwie, że wyszedł, z powodu cienia, padającego mu na twarz, zupełnie czarny, jak murzyn — tu, w chwili, gdy siadano do stołu, nie znalazł dla siebie miejsca. Było tylko dwadzieścia dwa nakryć. Nagłe wezwanie ks. Rybickiego do chorego uratowało sytuacyę. Ksiądz i tak przemocą tylko, i to jedynie na chwilę dał się tu był wciągnąć, ustąpił więc miejsca Glückskindowi.

Zaczęto się raczyć, jeść, pić, odczytano parę telegramów od nieobecnych kolegów, kolega dziennikarz palnął półgodzinną mówkę, szumną jak artykuł wstępny, o szczytności idei zjazdów koleżeńskich, aby módz zacytować swe nazwisko w artykuliku o zebraniu, który w wigilię jego odbycia już miał gotowy, gdy naraz rubaszny, wesoły i ciepły ton Płatkowskiego, wnoszącego zdrowie dyrektora, zagrzał wszystkich, znudzonych blagą Pływalskiego, dobrą do odezwy, ale nie przy stole, gdzie chciano się bawić. Toast spełniono szampanem, zadysponowanym przez Płatkowskiego nieco ostentacyjnie, co jednak przeszło bez silniejszego wrażenia wśród ożywionej zabawy.

Po wychyleniu zdrowia dyrektor rzucił się na szyję kochanemu Jasiowi, rozczulony do łez, obcałowując go nie po raz pierwszy tego wieczora w wylewie tej nagłej sympatyi, jaką najniespodzianiej w świecie stwarzają między ludźmi uroczyste uczty.

Gwarycz tymczasem, zauważywszy, że szampan, zadysponowany przez Płatkowskiego, znikł bez śladu. kazał po cichu przynieść jeszcze dwadzieścia butelek, których złote główki samem swem ukazaniem się rozpromieniły twarze i dały hasło prawdziwej owacyi na cześć bogatego kolegi.

Poczęto spełniać jego zdrowie raz po raz: jako kolegi, jako ucznia, jako obywatela, jako złotego chłopca, przyszłej chluby kraju etc. Złoto święciło pełny swój tryumf.

Potem zaczęli po kolei opowiadać każdy swe dzieje od ostatniego widzenia, dość podobne do siebie historye, wspominające o stypendyach, lekcyach, egzaminach, chorobach, posadach, służbie wojskowej, złych i dobrych stronach obranych zawodów, trochę utyskiwań, aby pokazać, że nie obyło się bez walki i sporo przechwałek, bo bez tych w życiu obejść się niepodobna.

Gdy przyszła kolej na Glückskinda, począł mrugać oczyma, blizki płaczu. Miał już dobrze w głowie, plątał się więc i bełkotał, wstydząc się swych dziejów, swej wyjątkowej nędzy odczuwając ją w tej chwili podniecenia i po tem, co tamci mieli o sobie do opowiadania, bardziej niż kiedykolwiek.

Aby go wyratować z kłopotu, zasypano biednego żydka żartami, śmiechem, wiwatami, wypito jego zdrowie, wróżono: „Poczekaj, wszystko się odmieni!... Otworzysz kancelaryę! ożenisz się! będziesz bogatym!...“

I przez jednę krótką chwilę, zakrzyczany pomyślnemi wróżbami, uczuł niepokój, jak gdyby nie był pewnym, czy ma w istocie do końca pozostać pechowcem, czy nie otworzy mu się kiedyś nowe życie, nie uśmiechnie lepsza dola?...

Ale nie!... odegnał precz mrzonkę.

Oni to dla siebie krzyczeli, ci karyerowicze, popisujący się od rana swemi sukcesami; dla własnego spokoju dodawali mu otuchy, aby nie potrzebować się troszczyć o jego psią dolę, nie psuć sobie zabawy słuchaniem jego skarg, aby się wiwatem na jego cześć wykwitować z obowiązków koleżeńskich.

Dutkiewicz, dygnitarz z Krówek, reżyser miejscowego teatru amatorskiego, mający pełną gębę komunałów i banalnych dowcipów, wtrącający co trzecie słowo „panie dzieju“ dla powagi i dla zebrania rwących się ciągle myśli, typ bujności fizycznej, połączonej z zupełną pustką intelektualną, bezwiednie ubawił całe grono, w którem śmiano się do rozpuku w czasie opowiadania naczelnika stacyi

Sorga, który zajmuje się pożyczaniem na procent. P. Sorg zajął się wyrobieniem mi pożyczki na budowę kamienicy, a mianowicie za pierwszym razem 3000 złr. P. Sorg dał mi pożyczkę i z tego z góry zaraz potrącił jako 10 % 300 złr., a oprócz tego 600 złr. tytułem honoraryum. Ponieważ sądziłem, że p. Sorg wyda mi resztę, więc zwróciłem się do niego o drugą pożyczkę w kwocie 4000 złr. P. Sorg mi ją wyrobił potrącił sobie natychmiast z góry jako 10% 400 złr. a oprócz tego zatrzymał 600 złr. i dotychczas mimo upomnień zwrócić nie chce".

(Tu następuje moralna kwalifikacya czynów p. Sorga, której ze względu na niego nie przytaczamy, licząc na jego młody wiek itd. *Redakcya „Naprzód"*). *Jan Czaja.*

Jako świadkowie podpisało się 10 towarzyszy wówczas obecnych. Podajemy te fakty do wiadomości nie tyle tutejszej ck. dyrekcyi policyi, która wie o tem zapewne, ile dla władz centralnych i dla szerokiej opinii publicznej.

W klinice dra Obalińskiego znajduje się chory robotnik, . . . **skonfiskowano skonfiskowano**. reformę zacząć od góry

Ze stowarzyszeń i zgromadzeń.

W niedzielę 20 t. m. odbyło się zgromadzenie ludowe w sali p. Ebera. Zagaił tow. Łyszczarz, wskazując że po strasznem rozgoryczeniu po demonstracyi z dnia 14 października podjęto tem energiczniejszą pracę wewnątrz, założono trzy nowe stowarzyszenia zawodowe i zorganizowano wydawnictwo tygodnika. Obecnie wracamy znów do zgromadzeń publicznych. — Przewodniczący tow. Misiołek udzielił głosu tow. Daszyńskiemu, który przemawiał na temat: „Czego chcą socyalni demokraci". Referent wskazał na rozszerzającą się coraz bardziej przepaść między bogatymi a ubogimi, między kapitalistami a proletaryatem. Z tego strasznego położenia proletaryat ratuje się prowadząc zorganizowaną walkę klasową, dążącą do usunięcia dzisiejszego ustroju i zaprowadzenia społecznej produkcyi. Walka klasowa toczy się wśród strasznego rozgoryczenia i nienawiści, bo nie robi się niemal nic, aby ją złagodzić, a niektóre stany lub osobistości robią wszystko, aby uciśnionych drażnić i wyzywać. Ustawy ochronne w Austryi są nader słabe, a w wykonaniu ich znika i to małe dobrodziejstwo, które by mogły zawierać. Proletarjatowi u nas nie tylko nie daje się nowych praw, ale odbiera się dawne. Tak np. burmistrz Friedlein odebrał zgromadzeniom robotniczym salę i ujeżdżalnię, choć te zgromadzenia odbywały się zawsze w największym porządku. Przemocą niemal wytwarza się w ten sposób burzę niezadowolnienia i protestu. Mowca odpierał dalej zarzuty, jakoby celem socyalizmu było zniszczenie religii, rodziny i narodowości. Religią pozostawiamy sumieniu pojedynczego człowieka, a nawet większość naszych towarzyszy jest szczerze religijną, co im nie przeszkadza być szczerymi socyalistami. Z chwilą jednak kiedy słudzy kościoła występują po stronie przeciwników ludu, występujemy ostro przeciwko nim. Rodzinę zniszczył sam kapitalizm, przez to że wepchnął kobietę do fabryki. Na 1000 pracujących w fabrykach cygar było 896 robotnic, w chemicznym przemyśle (szkodliwym również dla zdrowia) na 1000 było 569 kobiet; w tkactwie było zatrudnionych 185,000 kobiet. Odbija się to strasznie na zdrowiu dzieci; w r. 1831 było na 1000 urodzeń 12 martwych dzieci, w r. 1890 już 33 martwo urodzonych. Narodowości my bronimy najgoręcej, bo bronimy ludu, który jest podstawą narodu. Zresztą my nie śpiewamy carskich hymnów, ani nie łasimy się przy obcych dworach. Przygotowując lepszą przyszłość ludu, pracujemy najlepiej dla narodu. Zarzuty stańczyków lub liberalnych tchórzów możemy z pogardą odeprzeć.

W końcu mowca odpiera zarzut utopijności socyalizmu i na pytaniu „kto będzie w państwie socyalistycznem czyścił buty?" analizuje z ironią wartość tego rodzaju przepowiedni na przyszłość..

Tow. Serkowski przytacza liczne fakty niepotrzebnego drażnienia robotników, swoje uwięzienie, demonstracye i kary, a wreszcie podstępne działanie „szajki", do której należy „taki ks. Badeni" i t. d Przewodniczący wzywa mowcę aby unikał osobistych wycieczek. Ks. Jan Badeni (zaczyna mówić wśród okrzyków niechęci zgromadzonych; Daszyński wzywa zgromadzenie, aby z zimną krwią raczyło wysłuchać jezuitę) zwraca się przeciw niereligijności referenta, który miał z lekceważeniem mówić o rozkoszach raju dla ubogich, nazywa go niereliginym, zwłaszcza, że występował przeciw kościołowi. — Tow. Nowak wzywa Badeniego, aby nie rozbierał teologicznych kwestyj, a mówił o tem, jak dzisiejszą nędzę usunąć tu na ziemi. Daszyński oświadcza, że on sam chciałby być również w królestwie niebieskiem, ale jako referent podniósł, że nędza mas jest matką zbrodni. Na tysiąc przestępców kryminalnych wypadało 905 ubogich, 91 średnio zamożnych, a 4 bogatych. Czóż ubodzy mogą być w nędzy swej łatwo cnotliwymi i dostać się do nieba, którego tajemnic nie zna zapewne i ks. Badeni. Ks. Jan Badeni wykazuje sprzeczność mowcy w poglądzie na Chrystusa. Nie można jednych słów Chrystusa uznawać, a innych nie. Chrystus sam mówił ciągle, że jest Bogiem, nie wystarczy więc uważać go „za wielką postać historyi". Przewodniczący wzywa mowcę, aby się trzymał tematu i mówił o środkach usunięcia dzisiejszego ustroju. Ks. Jan Badeni wymienia „Towarzystwo Wicentego a Paulo" — jałmużnę... Przewodn. uważa ten środek jako obelgę dla ludności pracującej, która chce oddawać się pożytecznej pracy. Towarzyszka Kotapkowa opisuje działalność tego jałmużniczego towarzystwa. Mąż jej był trzy miesiące bez roboty a ona miała utrzymać troje dzieci i staruszkę matkę; poszła więc do tow. Wincentego a Paulo, gdzie jej dano kwartę krup, kwartę grochu i dwa funty chleba na tydzień dla sześciorga osób! Tymczasem w „Sile" dobrzy ludzie ze składek utrzymali jej rodzinę przez zimę i im zawdzięcza, że z dziećmi nie zginęła z głodu. Gdy drugą razą przyszła do „tow. Winc. a Paulo" wypędzono ją bez niczego, mówiąc że mąż jej jest socyalistą i podpisał się na plakatach zwołujących zgromadzenie 1 Maja!

Prosta i nieuczona mowa tow. Kotapkowej była zabójczą dla „gładkiego" i sprytnego księdza Jana Badeniego, który napróżno usiłował frazesami o jałmużnie ratować sytuacyę. Ta biedna kobiecina zapracowana i w trzydziestym siódmym roku życia już stara, opisała najlepiej, jak lud patrzy na jałmużnę. W końcu oprócz jałmużny, wskazał ks. Badeni encyklikę papieską, jako środek zaradczy, oświadczył jednak, że encykliki przy sobie nie ma i że jest nieprzygotowany.

Przewodn. tow. Misiołek w gorącej przemowie wzywa towarzyszy, ażeby przystępowali do organizacyi i szerzyli robotnicze pisma. Zgromadzenia robotników wyrzucono z sal miejskich, ale my sobie przez to prawa zgromadzania się wydrzeć nie pozwolimy! (Huczne brawa!). O godz. $1^3/_4$ zamknięto zgromadzenie trzykrotnym okrzykiem na cześć socyalnej demokracyi. Po zgromadzeniu odśpiewano z zapałem „Czerwony sztandar".

W Przemyślu ma się wkrótce założyć ogólne kształcąco-zapomogowe stowarzyszenie robotników żydowskich.

Z warsztatów i fabryk.

Z życia szwaczek. — Z całej klasy pracującej najwięcej wyzyskiwanemi są bezsprzecznie dziewczęta zajęte szyciem. Niemal wierzyć się nie chce, jak bezwzględnie i bezlitośnie wyzyskują różne „panie" te młode ręce robocze. To też w pośród tych tysięcy bezbronnych dziewcząt najwięcej samobójczyń i najwięcej ofiar urzędowej, uznanej rozpusty płatnej... A przecież ani jeden głos w społeczeństwie nie ujmie się za tymi niewolnicami igły, a od socyalizmu odstrasza te biedne robotnice — przesąd i oszczerstwa.

---

i zamieniano pełne wezbranej wesołości spojrzenia.

Zdziwiło się znów wielu, gdy się dowiedzieli, że Wojtarski prowadzi obecnie w mieście pierwszorzędny handel win.

— Jakto? ty! kupcem?!... winiarzem?!... A historya, a literatura, w których siedziałeś po uszy?!...

Zaczęto wypytywać, co go do tego skłoniło.

— Śmierć stryja — odrzekł naturalnie — w braku głowy handlowi groził upadek, a że firma była stara, wyrobiona, niosła ładne dochody, nie wypadało jej dać upaść...

Porzucił zatem wydział.

Wszyscy, nie wyłączając profesorów, aprobowali jego postępek. Każdy z nich zrobiłby tak samo. Co historya, to nie handel wina. Takiej starej firmie nie godziło się oczywiście dawać upadać. Do historyi znajdzie się zawsze dość kandydatów, którzy nie mają widoków dziedziczenia renomowanej piwnicy. Dyrektor nawet zauważył, że zwracanie się ludzi inteligentnych ku zawodom praktycznym wpływa na podniesienie tych ostatnich i świadczy o rozwoju społeczeństwa.

Tymczasem prof. Łyżko, jako chemik, z błyszczącemi oczyma i nie bardzo już pewnym językiem, począł mówić o winie i winach, zapytując między innemi Wojtarskiego: jakie też ma najstarsze? — poczem rozmowa między nimi dwoma stała się całkowicie poufną.

Naraz dyrektor, bawiący się przez cały wieczór doskonale dzięki cofniętym w tył przez Płatkowskiego wskazówkom zegaru, wiszącego na przeciwległej ścianie — ujrzał w lustrze zegar w drugim pokoju, zaniepokojony wydobył swój, kieszonkowy i zerwał się jak oparzony, z zmienioną nagle twarzą.

Była godzina trzecia rano.

On! dyrektor gimnazyum! pedagog! człowiek nauki! który powinien świecić przykładem!... on, do godziny trzeciej rano, całą noc w knajpie! przy butelkach!.. Był cały oburzeniem na siebie i zgrozą przejęty.

Bez dalszej zwłoki począł żegnać się z wszystkimi, dziękując im za miłe chwile razem spędzone. Na wszystkie strony całowano się, prawiono sobie czułości i przysięgano, że się znowu niedługo spotkają. Niektórzy wprawdzie mieli już tego dosyć, zwłaszcza Smołowski, pragnący jak najprędzej znaleźć się sam na sam z Gwaryczem, którego pełna portmonetka, otwarta raz przez Maryana w ciągu wieczora, przykuwała go z jednej, a prof. Łyżkę z drugiej strony do bogatego chłopca. Lecz paru, ludzie serca, poddający się łatwo trunkom i słowom, doznawali pewnego bólu przy powrocie do chłodnego, realnego życia po tej uczcie serdecznej, wesołej i smacznej.

Podczas kiedy żydzi, zapakowawszy sobą szczelnie dwie doróżki, odjechali ku swej dzielnicy, Smołowski, Pływalski i Łyżko ciągnęli Gwarycza od jednej kawiarni do drugiej, szukając kart. Dziwnym zbiegiem wypadków nie było ich nigdzie, tak że w końcu Smołowski, zrezygnowawszy z większych zysków, pozbył się towarzyszy i żegnając się z napół pijanym Gwaryczem przed jego hotelem, wyłudził od niego pięćset reńskich tytułem pożyczki.

Ostatni, sam jeden, wracał do domu Glückskind, trzęsąc się w zimnie poranka pod swoim cienkim garniturem i z obawą patrząc na chmurne niebo, skąd deszcz, zdawało się, spadnie lada chwila.

Naraz zaszeleściły pierwsze krople i wnet przestrzeń napełniła się hukiem nawałnicy, uderzając gwałtownie o mury, kamienie i dachy.

Puścił się więc kłusem popod zamknięte domy, co tchu, na oślep, szukając schronienia, aby nie zmoknąć do nitki.

Wtem, minąwszy róg ulicy, zobaczył Płatkowskiego wskakującego z jakiejś bramy w czekającą dorożkę. Odwiózł nią tutaj kochanego dyrektora, któremu pozostał wiernym do końca.

Nim żyd zdołał krzyknąć, dać znak ręką — Płatkowski wsiadł i odjechał. Poznał on wprawdzie Glückskinda, lecz miał już dosyć na dzisiaj tego bratania się z żydami. Już przecie po zjeździe!...

I biedaczysko gnał dalej wśród ulewy, która smagała go na wskróś przemokłych sukni zimnemi biczami strumieni wody.

Nakoniec ujrzał schronienie. Wytężył resztę sił i wpadł pod wystający daszek publicznego wychodka, gdzie zastał skręcających papierosy trzech obdartych i cuchnących ludzi, którym deszcz przerwał pracę czyszczenia kanałów.

Dysząc z zmęczenia, oblepiony ciężkiemi z wilgoci sukniami, machinalnie zapuścił ręce w kieszenie, czy także nie znajdzie papierosa i namacawszy coś, wydobył ze zdumieniem — banknot pięcioguldenowy.

Skąd się tam wziął?!...

Nie włożył go tu sam — więc mu go musiał ktoś wsunąć... Kto?...

Na myśl, że to któryś z kolegów dał mu w ten sposób jałmużnę, wstyd i oburzenie na swą nędzę ścisnęło go za gardło.

Wtem turkot zwrócił jego oczy ku miastu. Może doróżka?...

Nie — to ks. Rybicki wracał odkrytym chłopskim wozem od chorego.

Ulewa słabła, robił się szybko dzień.

Weźmy dla przykładu typowy zakład niejakiej pani Flaszowej z placu Franciszkańskiego. Pracuje u niej pięć robotnic. Najwyższa płaca 8 złr., najniższa 3 złr. na miesiąc; jedna pracuje już 1½ roku darmo! Dziewięć godzin dziennie (a czasem dłużej) za 10 centów lub za darmo! Wyzysk ten jest równie bezwstydny jak powszechny. Jeżeli zaś dziewczyna taka zachoruje, to wyrzuca się ją na bruk bez litości. W ten sposób zabija się moralnie i fizycznie całe pokolenia młodych kobiet i to najuleglejszych i—najpobożniejszych.

Z Podgórza donoszą nam towarzysze piekarscy: Jakób Seidner, majster piekarski w Podgórzu przy ul. Lwowskiej nr. 6, nie utrzymuje swojej pracowni w porządku i dopuszcza się wielu nadużyć. Zatrzymuje robotników przez 17 do 18 godzin przy pracy, każe im sypiać w piekarni na piecach i po korytach w atmosferze dusznej, zdrowiu szkodliwej i to na workach, w które potem zawija ciasto surowe i pieczywo. W piekarni znajduje się wprawdzie jedna ubikacya przeznaczona do spania, jest to jednak formalny loch, bardzo ciasny, gdzie ma sypiać 10 ludzi. Nadto w lochu tym przebywać nie można z tego powodu, że podczas słoty przez dziurę w dachu leje się woda oraz znajduje się tam bardzo wiele robactwa.

Ponieważ ciągle robił nam wyrzuty, „że nie ma w nas wiernych ludzi“ przeto zawiesiliśmy w niedzielę dnia 20 stycznia 1895 robotę, a kiedy wieczorem tego samego dnia udaliśmy się do piekarni do jednego z czeladników, kazał nas policyantom odprowadzić do aresztów magistrackich.

Fabryka mebli giętych braci Kohnów w Cieszynie należy do większych zakładów przemysłowych na Szląsku austr. Zatrudnia ona około tysiąca robotników, w tej liczbie do 600 kobiet, przeważnie młodych dziewcząt. Ten szczegół wyjaśnia nam właśnie ów straszny wyzysk, jaki się w tej fabryce praktykuje, faktem jest bowiem, że dziewczęta zazwyczaj, jako żywioł lekkomyślny, najmniej oświecony i mało wyrobiony, najpożądańsze przedstawia pole dla oszczędnościowych machinacyj fabrykantów.

Fabryka dzieli się na pięć głównych oddziałów: stolarnię, ogibarnię, raszplownię, politurnię. W dwóch pierwszych pracują wyłącznie prawie mężczyźni, w pozostałych przeważnie kobiety. System płacy z małymi wyjątkami głównie akordowy, robota ciągnie się od 7 rano do 6 wieczór. Najlepiej płatnym oddziałem oczywiście jest stolarnia, wszakże jest w niej zaledwie trzech, co zarabiają do 9 złr. na tydzień. Reszta stolarzy odbiera przy wypłacie, która się odbywa co trzy tygodnie, od 5 do 16 złr., to znaczy, że żaden z tych fachowców nie może zarobić dziennie nawet guldena! A jeżeli nie doje, nie dośpi, aby otrzymać nieco więcej nad tę nędzną normę, to mu tę przewyżkę najbezczelniej pod różnymi pozorami odciągną przy wypłacie. W dowód wielkiej łaski niektórzy otrzymują à conto forszusu od jednego do 3 złr. tygodniowo. Jeżeli tak zarabiają stolarze, cóż mówić o innych! „Ogibacze“ przy nadzwyczajnych wysiłkach dostać mogą za tydzień najwyżej 5 złr., raszplownicy od 2 do 3·50 złr., a praca tych ostatnich bardzo niezdrowa, bo w ciągłym pyle, który sprowadza suchoty. Podobnież jak w raszplowni, zarabiają kobiety w politurni i pakierni. Oprócz tych istnieje jeszcze jedna kategorya pracownic: są to wyplataczki, które biorą robotę do domów, nieraz bardzo odległych od fabryki. Za wyplecenie krzesła biorą 32 centy, ale od tego należy odtrącić koszt materyału, który kupują w fabryce, to jest 24 centy, czyli że za robotę 2—3-godzinną zyskują one 8 centów! To też za tydzień pracy wyplataczka może się znaleźć w posiadaniu wielkiego kapitału, wynoszącego stosownie do wprawy i zręczności od 1·60 do 2·40 złr. A ile to pomiędzy niemi jest wdów z drobnemi dziećmi!

Przytem robotnik nigdy nie wie, za jaką płacę pracuje, bo jeśli przy jednej wypłacie ma 30 cent. od 100 sztuk, to przy drugiej tylko 20 cent. od 100 sztuk, a o tem się dowiaduje dopiero po trzech tygodniach, bo istnieje takie urządzenie, że robotnik musi mieć dwie książki do zapisywania, jedną u siebie a drugą w kantorze. Przy takiem wynagradzaniu na domiar złego obchodzenie się p. dyrektora Grafmajera i majstrów z robotnikami jest bardzo niegodziwe. Panowie ci nietylko szafują za nadto wymysłami i obelgami, ale nawet pozwalają sobie nieraz bić pracujących, czem zasłużyli sobie oddawna na kryminał. Ale nie potrzeba wcale żadnego istotnego przewinienia, aby robotnik nieraz po 15 i 20 latach ciężkiej pracy ujrzał się na bruku, bez żadnego ratunku i pomocy. Jest i tutaj t. zw. Krankkassa, do której robotnicy wkładki płacić muszą, ale jak to i gdzieindziej się zdarza powszechnie, również bez żadnej kontroli ze strony robotników. Co się w rachunkach tej kasy dzieje, kto tam z nas pracujących wiedzieć może!

Pięć lat temu jeszcze pracujący ze swego lichego zarobku musieli opłacać światło, kupować papier szklany (Glaspapier), politurę itp. Otóż dokuczyło to im wtedy do żywego, zmówili się więc i aby przynajmniej od tego ciężaru się uwolnić — zastrejkowali i doszli wszyscy gromadą do lasku Grabiny za miastem. Tam jednak otoczyło ich wojsko i sprowadziło napowrót do fabryki, lecz robotnicy zastraszyć się nie dali, przy żądaniu swojem wytrwać mieli siłę i p. Kohn ustąpić musiał.

Lecz od tego czasu dzieje się znów coraz gorzej, bezczelny wyzysk wzrasta coraz bardziej, bo oporu nie znajduje, a p. dyrektor chciałby nawet zakazać myśleć robotnikom, bo myślący robotnik nie długo dałby tak sobą orać i pomiatać. Oto w przeszłym roku 60 robotników należało do Stowarzyszenia robotników „Oświaty“ w Cieszynie; nie podobało się to widać p. dyrektorowi, bo zapowiedział, iż wydali ich wszystkich, jeżeli się natychmiast ze Stowarzyszenia nie wypiszą. Byli widać małego ducha, bo zlękli się pogróżki i usłuchali; nie spodziewali się też zapewne poparcia ze strony reszty towarzyszów z fabryki, którzy na takie podłe żędanie powinni byli odpowiedzieć zaraz strejkiem ogólnym. Miejmy nadzieję, że się oni opatrzą, porozumieją i znajdą sposób na powstrzymanie barbarzyńskich zapędów właścicieli i p. dyrektora.

Na zakończenie dodam, iż jeden z pp. Kohnów, należący do sławetnej Rady miejskiej m. Cieszyna, był jednym z tych, którzy w r. 1893 gardłowali zaciekle za zrzuceniem napisów polsko-niemieckich na rogach ulic, a domagali się napisów wyłącznie niemieckich, zdając się zapominać o tem, iż połowę ludności Cieszyna stanowią Polacy, a lud okoliczny wyłącznie jest polski i po niemiecku nie rozumie wcale albo bardzo mało. Tak to największy wyzysk ekonomiczny chodzi w parze z gnębieniem narodowości.

W. Obuch.

„Koło miejscowe“ w Nowym Sączu, Stowarzyszenia zawodowego w Wiedniu, urządza doroczne walne zgromadzenie dnia 27 b. m. o godzinie wpół do 3 po południu, a w razie braku kompletu nadzwyczajne o godzinie wpół do 4 t. d. we własnym lokalu o czem się wszystkich członków zawiadamia.

Zapiski literackie i artystyczne.

Z teatru. Na scenie krakowskiej rzadko zjawia się dzieło, zdolne zainteresować szersze koła ideą nowoczesną lub przedstawiające prawdziwy obraz stosunków dzisiejszych. Większość utworów, któremi kierownicy teatralni u nas — a nie tylko u nas — karmią publiczność, te mdłe dramidła lub frazesy, obliczone na smak i zamiłowanie mieszczańskiej publiczności, albo wydelikatnione „zmysły półpanków“; — dwie te bowiem sfery stanowią większość olbrzymią stałych bywalców naszego teatru. Tem chętniej zaznaczamy wyjątki, zdarzające się w repertoarze naszej sceny. W ostatnich tygodniach przedstawiono w teatrze krakowskim dwa utwory różne pochodzeniem i wykonaniem, ale połączone wspólnem tłem, za które autorom służyła korupcya dzisiejszego społeczeństwa. Autor francuskiej „komedyi“ zatytułowanej „Kruki“, p. Becque przedstawił zgraję oszustów i wyzyskiwaczy ze sfery mieszczańsko-przemysłowej, a dla charakterystyki swoich postaci dobierał barw prostych i zwykłych i stworzył obraz rodziny mieszczańskiej, która straciwszy swego ojca, wpada w ręce najlepszych swoich „przyjaciół“, pomiędzy którymi, jak ów zając z bajki nie tylko ginie, ale przez nich samych pożartą zostaje. Autor drugiej komedyi, zatytułowanej „Intratna posada“ (*Dochodnoje miesto*), rosjanin A. Ostrowski uwydatnił w swoim utworze jednę z najwybitniejszych cech urzędniczego świata, czyli tak zwanego „czynownictwa“ moskiewskiego; cechą tą jest — łapownictwo rozwinięte w „Świętej Rosyi“ nad wszelką miarę. Kto w Rosyi poświęca się karyerze urzędniczej, z postanowieniem strzeżenia swego honoru i czystości swoich rąk, musi marnie zginąć, jak ginie zły pływak, puszczający się naprzeciw prądowi rwącego strumienia. System łapownictwa, rozszerzający się zresztą i po za granice caratu, zgniata i miażdży każdego, kto pojęciami swojemi i poczuciem honoru ponad niego wynosić się ośmiela. Marzyciele mieszczańscy, skromni liczbą, a naiwni pojęciem — rozpaczają i — toną w błocie swego środowiska moralnego, z którego wyprowadzić by ich mogła tylko potężna idea odrodzenia ludzkości, głoszona i w czyn wprowadzana przez miliony proletaryatu.

LISTOPAD.

Powiały zimne wiatry jesieni,
Niebo złowrogo marszczy chmurną brew,
Zamglone słońce żółto się mieni,
Szumi listopad spełzłem liściem drzew...

Szumi — i dziwne dźwięki przegania,
Wicher je chwyta w akord bólu, skarg,
I z mgły się wznosi straszna, tytania
Pieśń ust zgłodniałych, sinych bólem warg.

Wy znacie pieśń tę, świata Naboby!
Ona wam piersi toczy jękiem swym,
Grozą zatruwa wam komnat groby
Z ołtarza nędzy, ten ofiarny dym!...

N. Sącz 10/I.95. *Aleksander.*

KRONIKA.

Z Trzyńca donoszą nam, że tamtejsi księża rozpowszechniają tam klerykalne gazety i spodziewają się przez to wstrzymać rozwój socyalizmu. W gazetach tych jednak oprócz zwyczajnych obelg i kłamstw na socyalistów, niema ani odrobiny poświęcenia i chrześciańskiej miłości. Jak bardzo zaś tej miłości niektórym księżom potrzeba, świadczy fakt następujący: W listopadzie umarł w Wendrynie tow. Hahnheiser. Ojciec jego pragnął zwłoki syna pochować w Trzyńcu przy wspólnym grobie rodzinnym. Otóż za samo pozwolenie, tj. za kartkę, którą mu na to napisał proboszcz Olszak, musiał ojciec zapłacić 15 złr. Czyż takie zdzierstwo jest dowodem miłości „braci“ w Chrystusie?

A kiedy ojciec prosił, żeby bodaj za to mszę ks. proboszcz odprawił, to księżulek zażądał jeszcze dwa złr. w dodatku!

A trzeba wiedzieć, że towarzysza H. i jego rodzinę utrzymywali z dobrowolnych składek socyalni demokraci, koledzy robotnicy, przez całe sześć miesięcy, kiedy chorował. Po której stronie stanąłby Chrystus?

Towarzysz Setkowicz został po tajnej rozprawie dnia 21 b. m. zasądzony na półtora roku ciężkiego więzienia za obrazę majestatu i religii.

Rozprawa karna przed przysięgłymi przeciw tow. Regerowi odbędzie się dnia 7 lutego b. r. Tow. Reger obwiniony o zbrodnię z §. 65 u. k.

Panu Prezydentowi sądu krajowego przedkładamy następującą sprawę do zbadania. — Włościanin Franciszek Filipek udał się 18 bm. z żoną do Krzeszowic do notaryusza, aby sprzedać swoją realność, a uwolnić z długów swoją ojcowiznę. W sieni notaryalnej został przyaresztowany, ażeby odsiedział 3-tygodniową karę za przekr. z §. 411 uk. Ponieważ zwłoka w spłacie długów grozi jemu, żonie, 3 małym dzieciom i staruszkom rodzicom wydziedziczeniem, przeto żona błagała kilkakrotnie naczelnika sądu w Krzeszowicach o tymczasowe wypuszczenie Filipka, dlatego, aby mógł uregulować swoje interesy.

Sędzia odmówił każdym razem. Dodamy tu, że poprzednio nie doręczono Filipkowi wezwania lub uwiadomienia o konieczności odbycia kary.

Pan profesor Cyfrowicz rozgniewany srodze na nas za pewien artykuł, który go jeszcze nader grzecznie traktuje, odgraża się przed ludźmi, że przyjdzie do naszej redakcyi z kijem! Jak i z czem szan. profesor przyjdzie, to jego rzecz, ale w jakim stanie wyjdzie z redakcyi?... Dajemy mu pod światłą rozwagę to pytanie, wiedząc że „trzeźwy umysł“ pana profesora łatwo je rozwiąże.

Jeżeli bowiem kij miewa dwa końce, to my zwykliśmy cieńszy koniec trzymać w ręku...

Z fabryki Zieleniewskiego. Patryotyczny fabrykant Zieleniewski zdawien dawna słynie z swej chciwości i brutalnego wyzysku robotników za pośrednictwem systemu akordowego. Tę samą pracę akordową za którą przed rokiem płacił 40 złr. obecnie płaci 20 złr. uzasadniając swe postępowanie tem że jeżeli się robotnik dobrze wysili, to tyle zarobi, że z głodu nie umrze (!!). Uprawia on również gospodarkę protekcyjną i korumpuje mniej doświadczonych robotników wychowując ich na zdrajców sprawy robotniczej. Tak wyćwiczeni rzucają się na uczciwych towarzyszy sympatyzujących z ruchem socyalistycznym. Ale i donosicieli wyrzuca na bruk, gdy wskutek starości braknie im sił do napełniania jego mieszka. Niedość na tem, skąpstwo i niedbałość, które w fabryce panują, powodują ciągłe wypadki. Kocioł przy maszynie parowej który powinien być przynajmniej co 3 miesiące czyszczony, bywa zaledwie w fabryce tego pana czyszczony raz na 9 miesięcy. Wskutek tej niedbałości dnia 10 stycznia pękł sztuc i para poparzyła całą twarz maszyniście. Wzywamy pana inspektora i władze policyjne, aby raczyły energicznie zająć się tem niedbalstwem i skąpstwem, bo pozbawia ono robotników zdrowia i życia. Towarzyszy zaś wzywamy, by nam o każdym nowym wybryku ich fabrykanta donosili.

Rachunki partyjne.

Fundusz prasowy. Michał Sobol —·16, Kamieniarski murarz —·50, Gruszyńscy —·20, Kostelnik 1·—, Młodszy radca —·75, Dr. S. —·10, Dobrze myślący —·05, Wiktor —·05, X. X. —·10, Neider Józef 1·10, Goldman Artur 1·10, F. D. —·50, J. G. —·60, Kurcewiczowa —·50, Sokół —·30, Fryze —·10, Blacharze z Rynku —·28, Krzesiwo —·05, Maślak —·25, Z drukarni —·18, A. C. —·20, Martinek —·20, S. z Sącza —·20, A. G. —·10, Franc Zbigniewicz —·10, Kolejnik druh —·10, Kasper Solenizant 1·—. Zacharska —·10, F. Kopciński —·14, N. N. —·07, K. K. —·10, H. G. —·10, H. P. —·05, Za robotę Kleinbergera 2·—, R. —·24, Lipiński —·10, St. —·70, Z. R. —·25, G. G. —·10. Razem: 13·72. Poprzednio wykazano 142·60. Razem: 156·32.

Fundusz agitacyjny. Michał Sobol 1·—, Brzoskwiniewicz Brzezina na delegata do Wrocławia (6 mar.) 3·60, Piechnik —·50, Zapr. —·10. Razem: 5·20.

Fundusz dla prześladowanych. W. Kopytyński Budapeszt 1·80, Nowak —04, Czekaj —10, Na miesięcznem zebraniu „Siły“ w Budapeszcie 2·—, Andrzej Piątkowski —·10, Kochański —·13. Razem: 4·17. Lista zamknięta 15 stycznia 1895 r.

Sprawozdanie za IV. kwartał.

(od 1-go października do 31-go grudnia 1894 r.)

Fundusz prasowy: Dochód: Prenumerata i sprzedaż pojedyncza 327·98. Dary w w IV. kwartale 47·34. Razem 375·32.

Rozchód: Deficyt w III kwartale 51·37. Druk sześciu numerów od 19-go do 24-go 220·55, lokal za: październik, listopad i grudzień 36·00. Pensya redaktora za październik i listopad 40·00, koszta administracyi, ekspedycyi, telegramy, portorya i t. d. 63·14. honorarya autorskie 4·00. Razem: 415·07. Deficyt 39·75.

Fundusz agitacyjny: Dochód: Składki w IV. kwartale 97·05, różne składki 17·38. Razem 114·43.

Rozchód: Deficyt z III. kwartału 8·67. Dodatek do pensyi redaktora 25·50. Podróże, zgromadzenia i różne wydatki 193·55. Razem: 219·05. Deficyt 104·62

Fundusz dla prześladowanych: Dochód: Składk w IV. kwartale 177·95.

Rozchód: Deficyt z III. kwartału 14·79. Zapomogi 112·52. Razem 127·31. Pozostałość 50·64.

Sułczewski Franciszek. Józef Kleinberger
Antoni Urbanetz.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: Jan Scholz.

Druk W. Korneckiego w Krakowie.